№ 52. Warszawa, dnia 14 (26) Grudnia 1885 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

OD REDAKCYI.

W przyszłym roku **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 1 k. 25**
Półrocznie . . . **rs. 2 k. 50**
Rocznie . . . . . **rs. 5**

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak Tygodnika Mód jak i Przyjaciela Dzieci, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora Kłopotów starego Komendanta, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 10, w ciągu roku wydanych zostanie 12. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

GŁÓWNIEJSZE OKAZY ROŚLINNEGO ŚWIATA.

I.

Przewodnia myśl w układzie roślin na ziemi.

Wielkość i piękno dzieł stworzenia są widoczne nietylko w ogromach niepojętych, ale nawet i w małoznaczących na pozór okazach. Potęgę Stwórcy ujawnia zarówno ruch gwiazd, nieprzeliczonych w liczbie i niepojętych w wielkości i w oddaleniu, jak i zawiązek i rozwój drobnej rośliny, będącej pośredniem ogniwem między bezwładną materyą a organicznym światem.

Czy więc badamy system słoneczny czy układ kwiatów, zawsze zbliżamy się do poznania prawdy, tajemnic stworzenia na dwóch przeciwnych końcach.

Znajdujące się na kuli ziemskiej rośliny, względnie do zamieszkiwanej przez nie okolicy, odznaczają się pewną jednostajnością, będącą wybitnem piętnem tego działu stworzenia. Każdy pas naszej planety posiada właściwe sobie okazy: jedne wzrastają pod silnem działaniem słońca, wśród wilgotnych lasów podzwrotnikowych; drugie lękając się wielkich upałów, przenoszą umiarkowany klimat, a nawet właściwe Północy mrozy. Wynikające ztąd różnice, nadają każdej miejscowości odmienną charakterystykę. Z trzech działów stworzenia, świat roślinny przyczynia się do tego najwięcej.

Skały i góry mają wszędzie podobny do siebie kształt, bez względu czy wzięły początek pod biegunem czy pod zwrotnikiem. Zwierzęta pomimo rozmaitości formy, stanowią obraz zbyt ruchomy i nieujęty, aby wywierać wpływ znaczny na zmianę widoku.

Dopiero rośliny zdobiące miejscowość we właściwy sobie sposób, nadają jej odrębny charakter.

Drzewa i kwiaty przystrajające pola, łąki, płaszczyzny i wzgórza; kształt liści i właściwe im barwy, wielkość roślin, zaznajamia nas z okolicą, wśród której po raz się pierwszy znajdujemy.

Największy wpływ na geograficzny rozkład roślin wywiera temperatura. Dwa tysiące odrębnych gatunków roślin przystraja kulę ziemską, wedle porządku zostającego pod wyłącznym wpływem słonecznego światła. Posuwając się od równika w kierunku biegunów, łatwo oznaczyć granice zachodzących przemian w świecie roślinnym. Pod wzrotnikiem spotykamy prawdziwe olbrzymy tak w dziale drzew jak i krzewów; dosyć wspomnieć o baobabach, manglierach, palmach, lub z drugiej strony o paprociach i aloesach. Posuwając się w górę dostrzegamy oliwne i laurowe drzewa, mimusy, bambusy; później kasztany, bawełniane drzewa, graby i t. p. Przybywszy do Europy środkowej znajdujemy dęby, buki, wiązy, brzozy, owocowe drzewa i rozmaite gatunki zboża. Więcej posunięte ku Północy okolice poprzestają na jarzębinie, jesionach i choinie.

Nadto żadna z roślin nie przekracza właściwego sobie stopnia szerokości geograficznej, dęby, orzechowe drzewa i topole zatrzymują się na 60 st., buki i lipy na 63 st., szyszkowe drzewa na 67 st. Po za 70 st. rosną zaledwo skarłowaciałe wierzby i to w szerokich nader odstępach. Skoro zaś znajdziemy się na północnej stronie Szpitzbergu, będącego pod 75 stopniem, dostrzegamy prawdziwą puszczę; nie ma tam ani krzewów, ani roślin; najwytrwalsze ze zbóż jak jęczmień i owies, plonują najwyżej pod 70 st. szerokości.

Dla poznania jednak geograficznego rozkładu roślin na kuli ziemskiej, nie potrzeba odbywać długiej podróży, od zwrotnika do bieguna, ale wystarczy zwiedzenie góry odpowiedniej wysokości, na której w miarę zbliżania się ku wierzchołkowi, dostrzeżemy coraz uboższą wegetacyą.

Skoro bowiem na płaszczyźnie daje się uczuwać gorąco od 20 do 30 stopni, jednocześnie na szczycie wysokiej góry, merkuryusz zniża się do 20 st. poniżej zera, co niszczy wszelką roślinność.

Dwie zatem części ziemi przedzielone równikiem, można uważać jako dwie góry ze wspólną podstawą, na której uczuwamy wielki upał, dający początek olbrzymiej roślinności, a w miarę zbliżania naszego ku wierzchołkowi, wegetacya staje się coraz mniejszą, aż nareszcie znika i znajdujemy się wśród pustyni, gdzie prócz lodowych brył nic innego nie dostrzegamy.

Przyczyną tego stopniowego zmniejszania się roślinności, jest także stopniowe zmniejszanie się ilości cieplika, jakiego każda roślina potrzebuje dla swego rozwoju.

Pszenica będąca głównem pożywieniem europejskiego społeczeństwa, zanim rozwinie się w bujne kłosy, pochłania około dwóch tysięcy stopni gorąca, licząc od pierwszych promyków wiosennego ciepła, aż do jej zbioru. Grono winnej latorośli potrzebuje jeszcze więcej, bo aż trzech tysięcy stopni cieplika. Po tego rodzaju spostrzeżeniach łatwo zrozumieć, jak od temperatury zależną jest każdej okolicy wegetacya.

Humboldt w słynnem dziele swem: *Obrazy natury*, powiada:

„Najbogatszą roślinność dostrzegamy pod pałącem słońcem zwrotnika. Tam zamiast właściwego północy mchu, napotykamy cymbodye i pachnące wanilie, zawieszone na gałęziach olbrzymich fig i anarkadów. Wśród tej bujnej wegetacyi, przeplatanej pnącemi się w różnych kierunkach ziołami, trudno odróżnić do którego pnia należy kwiat lub liść, wybrany z pośród miliardów innych. Podwzrotnikowe rośliny mają bezporównania sok obfitszy, zieloność żywszą, liście większe aniżeli na Północy, gdzie wszystko maleje w miarę zbliżania się do bieguna. Za każdym krokiem napotykamy tam coraz nowe okazy, jedne wspanialsze od drugich. Drzewa dwa razy większe od stóletnich dębów, pokryte są kwiatami podobnemi do naszych lilii pod względem wielkości i blasku. Nad cienistemi brzegami Rio-Magdalena w Ameryce Południowej, pnące się rośliny posiadają liście, mające cztery stopy obwodu. Kwiat raffezii posiada metr średnicy i waży kilka funtów. Podwzrotnikowe rośliny, znajdujące się w naszych oranżeryach, dają niedostateczny obraz właściwym tamtym okolicom wegetacyi. Ale porzucone w ziemię ziarno, nie mogąc uledz działaniu mrozu i śniegu, nie daje prawie żadnego plonu, mimo to mieszkający tam ludzie znajdują środek wyżywienia w drzewach, dający bez pracy gotowy dla nich pokarm, jak chleb, mleko i wino.

G. K.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TY PŁACZESZ.

Ty płaczesz... w oku twojem łza cierpienia błyszczy,
I blask smętny rozlewa po całej postaci;
A gdy zgaśnie, jak gdyby wśród pożaru zgliszczy,
Duch twój barwę swobody i wesela traci.

Ty płaczesz... czyż ta siła co trawi i niszczy
Gmach złudzeń, ale wiedzą doświadczeń bogaci,
Dotknęła twego serca najświętszych bożyszczy,
Rozdmuchana bezwiednie piersią twoich braci??

Ty płaczesz... i myśl moja w falach smutku płynie:
Chciałabym słońcem pociech zażegnać łez burze,
Na miejscu świeżych ruin wznieść nowe świątynie;

Chciałabym wszystkie ciernie módz wykraść naturze,
I zapleść je do swego żywota jedynie,
By dla ciebie zostały... same tylko róże!

Emilia.

PRZEZ CIERNIE I GŁOGI.

OPOWIEDZIAŁ

Z. Grabowski.

(Dokończenie.)

Pierwszego już dnia podróży, poznawszy się z porucznikiem Adamem Skarbkiem-Malczewskim, który był osobistym przyjacielem Poleskiego, dowiedziałem się od niego okropnych przejść biedaka.

Poleski wplątał się w jakąś awanturę polityczną przeciw francuzkiemu rządowi i... został porwany i wywieziony do Cayenny.

Do kraju t. j. do matki i do siostry, od czasu przyjazdu do Paryża, listy za listami pisał, żadnej jednak nie otrzymywał odpowiedzi. Potem, nawet pod innemi adresami i na obce ręce posyłane pisma, także nie dochodziły, jak zapewne i listy z początku przez matkę do Francyi wysyłane.

Była to tajemnica niewyjaśniona.

Biedny chłopiec cierpiał, bolał okropnie, a marzył wciąż o powrocie do swoich, rzeczy, niestety! na pewien czas niemożliwej.

Zaciągnął się na lat pięć i trzeba je było wysłużyć koniecznie. O Courcych zaś, ani jednem Skarbkowi nie wspomniał słowem, pobyt swój w domu zacnego bankiera pokrywał milczeniem.

Wiedziałem tedy dość, aby teraz rozmówić się z biedakiem, obudzić w jego zbolałem sercu iskrę nadziei na jutro.

Noc na morzu Śródziemnem to rzecz nie do opisania; aby je ocenić, trzeba nań patrzéć okiem spokojnem a mieć wolną głowę i serce przytem.

W życiu, nie znałem nic prócz burzy; nic dziwnego więc, że nie pojmuję ciszy, że mnie ona razi, a tych co nie cierpieli, którym życie upływa jak zegarek nakręcony, uważam za obce mi istoty.

Noc jednak owa, wyjątkowo i mnie lepiej usposobiła.

Okręt kołysał się lekko, pchany siłą dwóch olbrzymich maszyn, po istotnie gładkich jak zwierciadło falach morza.

Byliśmy na wysokości Majorki, która nagie swe przyboczne skały wynurzała, jakby widma z łona sinych wód śródziemnych.

Nad nami było niebo gwiazdziste, jak morze dokoła bez końca. Na tyle okrętu nie było prócz oficera służbowego, chłopca, posługi i mnie, nikogo więcej. Dałem chłopcu franka i polecenie przywołania mi podoficera Poleskiego.

Za chwilę ujrzałem piękną jego postać w otworze bateryi. Podszedł i poznając mnie, niewiedział jaką przybrać postawę.

Wyciągnąłem doń przyjacielsko rękę.

Na dźwięk rodzinnej mowy, rozjaśniło się oblicze podoficera.

— Nie wiedziałem, że jesteś moim ziomkiem, mój poruczniku — szepnął.

Chłopiec tymczasem podsunął nam pod okolenie zewnętrzne dwa nizkie taborety, ustawił stoliczek, podał mój samowar kipiący i przybory herbaciane.

— Ale zkąd porucznik wie o mnie, kim jestem?

Uśmiechnąłem się.

— Wiem wszystko! — odparłem.

Pobladł trochę.

— Byłeś w Cayennie?...

Ujął dłoń moją.

— Przecieżbyś mnie nie chciał gubić?

— A jednak, pan, zgubiłeś niemal niewinną istotę... dziecko ludzi co ci podali rękę w niedoli.

Siedział z oczami pochylonemi ku ziemi.

— Ale o tem później, a teraz, czy znasz, pan, tę fotografią?

Podałem mu obrazek matki i siostry.

Patrzał weń długo, długo, blade jego lice pokryło się purpurą, łzy błyszczały w oczach.

— A teraz, przeczytaj pan najpierw list mojej matki... potem, ten drugi...

Zapaliłem cygaro i zacząłem spoglądać na fale, niechcąc przeszkadzać biedakowi.

On czytał przy świetle gwiazd południowej nocy, czytał raz i drugi i trzeci, czyniąc nadludzkie wysiłki, aby nie wybuchnąć serdecznym płaczem. Pierś jego unosiła się gwałtownie, ręce drżały jak w febrze.

Nie dałem mu czasu na podziękowanie.

— No, bądźże pan mężniejszym trochę. Wiem wszystko, wiem, że nie twoja była wina. Niech łzy matki i siostry spadną na tych co wam tę boleść sprawili. Obie drogie ci istoty ujrzysz wkrótce, zaraz po wojnie.

— Oh, nie! — szepnął ściskając mi ręce.—Pan wiesz, że jeszcze przeszło rok służyć muszę, gdybym był oficerem...

— To i tak przecie, nie rzuciłbyś Francyi w chwili, gdy nieprzyjaciel napada jej granice?

— Nie, nigdy! ale po wojnie, miałbym prawo wziąć uwolnienie.

— Jakoś się to zrobi potem. Mam jednak z panem pomówić; a nie dziw się, że choć w jednakowym jesteśmy wieku, żądam od ciebie szczerości, kilku słów spowiedzi niemal... od tego będzie zależéć może przyszłość twoja.

Usiedliśmy.

— Do matki i siostry, niedochodziły pańskie listy, wiem to — rzekłem patrząc mu w oczy — lecz czemu nie dałeś znać o sobie panu de Courcy?

Leon drgnął i spojrzał na mnie z takiem przerażeniem, jakby tuż przy nim nagle przepaść się otworzyła.

— Dlaczegóż mi nie odpowiadasz, panie Leonie? — zapytałem znowu?

— Przebacz, poruczniku — odezwał się wreszcie. — Pan de Courcy to mój dobroczyńca; byłem tyle szczęśliwy, że zdobyłem jego życzliwość... ale zaszły okoliczności... ogarnęła mnie rozpacz... straciłem świadomość samego siebie...

Nie dokończył, zakrył twarz ręką, jakby chciał stłumić miotające nim wzruszenie.

— Rozumiem — odezwałem się — pokochałeś Helenę...

— Tak — zawołał — nie będę się tego wypierał, ale Bóg świadkiem, że nie dla jej bogactwa. Posądziła mnie jednak o to i wymówiła z całą otwartością bez żadnej osłony... uciekłem więc w świat...

— Szaleńcze! — przerwałem — uciekłeś oszołomiony pychą bezinteresowności. Helena kochała cię i kocha jeszcze...

— Żartujesz poruczniku.

Tu opowiedziałem mu wszystko szczegółowo, całe zaszłe nieporozumienie między nim a Heleną. Słuchał z uwagą, a gdy wreszcie pojął że mówię prawdę, porwał mą rękę i do ust przycisnął.

— Jesteś moim aniołem opiekuńczym, zwiastunem szczęścia nigdy nieprzewidywanego! — Czyż mogłem kiedy coś podobnego przewidywać?

— Po jutrze — odrzekłem — przybędziemy do Tulonu. Zatelegrafuję do Courcych i spotkamy się z nimi w drodze. Tymczasem, dobranoc, jutro mamy jeszcze dość czasu na pomówienie o wszystkiem.

* * *

W Tulonie, wieści o pierwszych wojennych niepowodzeniach Francyi, doszły nas już, ale nie zostały publicznie ogłoszone.

Zaledwie dano nam jeden dzień wypoczynku, 5 ta brygada, wcielona do korpusu Mac Mahona, pędziła pociągami na miejsce przeznaczenia.

Leon Poleski, już w mundurze podporucznika w dawnej swej został kompanii. Na dworcu w Besançon, czekał na nas tylko p. de Courcy. Zdrowie Heleny wymagało, aby ją powoli do rozkosznej przygotować niespodzianki. Utrzymują wogóle, że szczęście nie zabija; mniemanie to błędne, zabija ono równie dobrze jak kula.

Pan de Courcy, powitał Leona z pewnem zakłopotaniem, gdy mu jednak objaśniłem wszystko:

— Po wojnie — rzekł do mego rodaka — wszystko się jakoś załatwi...

Sygnał wsiadania przerwał rozmowę.

— Donoście mi oba o wszystkiem— rzekł, gdyśmy już byli w wagonie. — Biedna Helenka, teraz odżyje przecie.

I wrócił do Paryża, a my podążyliśmy dalej, aby stoczyć tę nierówną walkę przeciw sześćkroć liczniejszemu wrogowi, zakończoną pod Wörth, heroicznem poświęceniem się kirasyerów.

Po Wörth i po Gravelotte, nastąpiły: St. Privat i Sedan.

Po nich, Gambetta i obrona narodowa.

Człowieka, który dziś śpi pod cyprysami w Cahoro, otoczony czcią czterdziesto-sześcio milionowego narodu, nie należy sądzić ze stanowiska niesnask politycznych i religijnych.

Człowiek ten, bądź co bądź, ocalił honor swej ojczyzny; uległa wtedy dopiero, gdy runął gród granatami obrzucony, gdy w nim wymarło dwadzieścia tysięcy dzieci, dla braku odpowiedniego pożywienia.

Już podczas tworzenia armii Loary, koniec taki był do przewidzenia, postanowiono jednak stawić czoło Bawarom i rozbito ich pod Coulmiers zupełnie. Że zwycięzka armia nie korzystała z tej przewagi i nie podążyła wprost na Paryż, zawdzięczać to należy niechętnemu rzeczypospolitej, naczelnikowi jej generałowi d'Aurelle, de Paladines.

Armia ks. Fryderyka Karola po wzięciu Metzu bez wystrzału, runęła nam na karki.

Było to o świcie 3 go Grudnia 1870 roku na kilka godzin zaledwie przed ostatnim bojem. Miesiąc już przedtem, wdowa Poleska w Warszawie otrzymała list tej treści:

„Pani!

„Syn twój żyje, jest porucznikiem w naszej armii, lecz niestety, jak zwykle w dniach walk, co chwila śmiercią zagrożony.

„Przybywaj pani z córką, przybywaj natychmiast, uściskać go i pobłogosławić twą przyszłą synowę. Na granicy spotka was dysponent mego banku, ułatwi wszystko i dowiezie do Orleanu, gdzie oczekujemy was z niecierpliwością.

de Courcy."

Z powodów jednak niezależnych od niej, i okoliczności, wdowa przybyła dopiero w końcu Listopada.

Biednej, po tylu latach cierpień należała się choć ta chwila radości. Matka, siostra i narzeczona, nieodstępowały na krok Leona, rannego lekko przed dwoma jeszcze miesiącami. Odłam granata drasnął go po czaszce, tyle tylko, aby sprowadzić tygodniową gorączkę.

Niebezpieczeństwo minęło, Poleski gotował się pójść z nami w pole.

Mieszkaliśmy na placu katedralnym. Ulicą przeciągały wojsk oddziały, w podwórzu naszego domu, pluton moich dragonów siodłał konie, generał zajmujący apartament na górze, posyłał po mnie co chwila.

Prusacy, złamawszy nasze linie i okrążywszy pozycye pod Artenay, Pathé, Goury, Chevilly i Cercottes, zagrażali wprost miastu. Nasza brygada była już przeważnie na stanowisku: ostatnia baterya przebiegała galopem plac i ulicę ku przedmieściu.

Wolny na chwilę, pobiegłem do mieszkania pana de Courcy, aby pożegnać, a przebiegając sień, krzyknąłem na ludzi moich, aby na konie wsiadali.

Szósty batalion legii przeznaczono znów, jak ongi 5-ty w winnice przedmieścia; Leon więc mógł zostać przy swoich z godzinę jeszcze.

Gdy wszedłem do saloniku, klęczał u nóg matki o której krzesło oparte były obie panienki. Opodal stał pan de Courcy z żoną.

Na piersiach mego rodaka, błyszczał na purpurowej wstędze krzyż legii honorowej, nabyty w tych samych winnicach, w których musiał dziś walczyć jeszcze.

Miał przez czoło opaskę, był wątły jeszcze, ale zapisany do czynnej służby od wczoraj, musiał wyruszyć w pole.

Nie była to pora ani na wybuchy czułości, ani rozpaczy lub żalu. Pierwsze byłyby nie na miejscu, drugie mąciłyby tylko spokój w boju konieczny.

Wszyscy tedy byli poważni, choć smutni. Staruszka skinęła na mnie.

— I ty uklęknij — rzekła — pobłogosławię cię za matkę... ona daleko!...

Obie dziewczyny i p. de Courcy z żoną, uścisnęli mi dłoń serdecznie.

Za chwilę, popędziliśmy galopem ku Cercottes, za spieszącemi szeregami.

* * *

Do trzeciej po południu wrzał bój zażarty garstki przeciw tysiącom, gdy tymczasem armia nasza, zdemoralizowana bardzo, przeprawiała się przez Loarę i przechodziła most Joanny d'Arc w nieporządku nie do opisania. Nikt niesłuchał rozkazów, które wszyscy dowódzcy najsprzeczniej wydawali. Piąta brygada otrzymała polecenie zatrzymania Niemców aż do nocy. Cofaliśmy się zwolna, krok za krokiem, szarżując co chwila na masy Prusaków, aby dać możność piechocie formowania się na nowo. Dopiero przy winnicach dwie pruskie baterye zdołały nas wziąć w ogień krzyżowy.

Pierwszą ofiarą morderczego ognia był mój zacny zwierzchnik, pan de Martic, sam prowadząc dragonów na zionącą ogniem niemiecką redutę.

Brygada weszła w przedmieście, ale nasi dragoni zostali zgnieceni całkowicie. Ocalonych pięćdziesięciu ludzi, poprowadziłem w winnice i kazawszy im zsiąść z koni, poleciłem bić się do końca.

Przecie jeszcze nie było nocy, mrok dopiero zapadał.

Na skraju zasiek wprędce urządzonych, spotkałem Leona. Ludzie jego, przeważnie ziomkowie, leżeli w rowach, z palcem na cynglu szaspotów, z postanowieniem dania się zakłuć na miejscu, ale nie ustępienia ani piędzi w tył. On, oparty o starą gruszę, patrzał w olbrzymie kłęby dymu, unoszące się na drodze z Carcotte.

— Panie Leonie! — rzekłem zbliżając się — gdzie major? Przyprowadzam mu jeszcze pięćdziesięciu moich dragonów.

Wskazał mi go opodal, przy trzech naszych jeszcze całych armatach, ustawionych na małym wzgórku.

Skinąłem na mych ludzi, aby nabili broń i zajęli pozycyą. Konie odprowadzono za mury na pół rozwalone jakiegoś budynku.

Po pięciu minutach ciszy, ukazały się kaski Prusaków, na odległość pięciuset metrów i usłyszeliśmy głuchy łoskot ich bębnów. Było w co strzelać. Kolumna bowiem niemiecka liczyła sześć tysięcy ludzi. Kłęby dymu otoczyły nas zupełnie.

Leon z szablą w ręce stał teraz z oddziałem w zasiekach. Walczył wraz z nim na ręce. Kłuto się, porywano za bary, tłuczono kolbami, tarzano po ziemi rozmiękłej we krwi i błecie, strzelano do siebie o krok tylko. Kartacze z dział naszych, nakładane w paszcze luzem zupełnie, wyrzynały krwawe ścieżki w szeregach nieprzyjacielskich, ale... daremnie.

Oskoczyło mnie kilku Prusaków i usłyszałem komendę jakiegoś oficera, poznańczyka zapewne:

— Weźcie ich żywcem, chłopcy: nie strzelać!

Mnie głowa nagle ociężała, poczułem w niej szum straszliwy, krew zalewała mi oczy zupełnie. Słyszałem jeszcze szelest bagnetów... haos nierównej walki i ostatnie gromy naszych armat. Otwarłem oczy z wysileniem, przecierając je rękawem munduru...

Zapadała noc głęboka, jak całun grobowy, posiana stem czerwonych płomieni grzmiących rusznic.

Prusacy cofnęli się na chwilę.

Spojrzałem za siebie: na czarnem tle nieba, trzy rakiety przerzynały powietrze. Był-to znak, że ostatnie pułki armii przeprawiły się przez rzekę. Upadłem na ręce mych wiernych ludzi i straciłem zmysły zupełnie.

* * *

Czwartego Stycznia odzyskałem dopiero przytomność, w prywatnej lecznicy.

Szabla niemiecka rozpłatała mi czaszkę, ale nie mogła z niej wystraszyć życia.

We dwa dni potem, oparty na ręku służącego, udałem się na plac Katedralny.

Dom był zajęty przez nieprzyjaciół: zniszczony, obdarty prawie z mebli, wszędzie widniały ślady nadużyć i rabunku.

Wszedłem do sklepu naprzeciwko.

— Co się stało z mieszkańcami tego domostwa? — spytałem właścicielki.

— Ah! z panem de Courcy i jego rodziną?

— Tak! i z tym młodym oficerem... co to.

— Wiem, wiem! — przerwała mi — biedni ludzie... stracili córkę.

Struchlałem.

— Jakto?...

— Ten ładny blondyn...

— Mówże pani! — krzyknąłem prawie.

— Przyniesiono go tu w nocy, na noszach... nieszczęśliwy miał aż trzy kule w piersiach...

— Ciężko ranny?

— Ah! panie, sama widziałam... był już zimny zupełnie. Ci rabusie zastrzelili go tam, w winnicach.

— A ona... jego narzeczona?

— Oh, panie! jakby to było teraz, pamiętam jeszcze: rzuciła się na ulicy, tu przed bramą, z okropnym jękiem na trupa i... tak została nieboga.

* * *

Na cóż miałem wypytywać się jeszcze obcej wszystkiemu kobiety?

Biedni ludzie! i ci ze złotem i ci bez złota, kroczyli w życiu *przez ciernie i głogi;* a żeby choć ku szczęściu jeszcze! Ale nawet i tej pociechy odmówiły im zawistne losy.

Mnie, prócz Heleny i Leona, żal było jeszcze ślicznej Jadwini, ale niestety, jak niegdyś brat, przepadła z matką swą bez śladu, bez wieści.

KONIEC.

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. P.

(Dalszy ciąg.)

VIII.

W czasie krótkiego w obozie wypoczynku Lockwood udawał, że niedostrzega prowadzonej siatki intryg przez Johna, dopiero skoro udał się powtórnie w drogę i był w dostatecznej odległości, aby nie być podsłuchanym, rzekł do Ricea:

— Ah, kochany sierżancie, ten nikczemny Niemiec patrzył na nas z taką nienawiścią, jakby chciał nas zjeść oczami. Oby mnie omyliło przeczucie, ale jeżeli ciała nasze złożone będą wśród tej pustyni lodowej, z pewnością służyć mu będą za pożywienie.

Rice giestem potwierdził zrobioną uwagę, bo od początku wyprawy John dla niego był wstrętnym, unikali go i przez cały czas wyprawy zamienili między sobą ledwo kilka wyrazów. Słowa Lockwooda podziałały silnie na umysł Ricea, uczuł dreszcz w całem ciele, jakby nagle dotknęły go zęby zjadliwej gadziny.

Smutny, niemal zrozpaczony, postępował krokiem ociężałym, a sercem jego miotała straszna boleść, chociaż nie umiałby wskazać źródła takowej. Podróż mozolną samą przez się utrudnił jeszcze gwałtowny wiatr, zniewalający częstokroć szukać schronienia wśród rozpadlin skał, gdyż prąd powietrza zdolnym był przewrócić nawet silnego człowieka. Na szczęście kierunek jego był z południa zachodu, zimno więc znacznie było zmniejszone, termometr nawet niekiedy wskazywał dwa do trzech stopni ciepła. Wynikła jednak z tego nowa zawada, topniejące śniegi tworzyły różnej szerokości strumienie a nawet rzeki, które przebywać pieszo było niepodobna. Przy zupełnym braku przewozowego statku musiano czekać na wieczorny mróz, aby po lodzie odbywać dalszą podróż.

Zaiste podziwiać należy odwagę ludzi, usiłujących zbadać tajemnice północnego bieguna.

Fryderyk był więcej niespokojnym niż kiedykolwiek, gdyż dostrzegł jasne światło po nad głowami, będące odbiciem północnej zorzy, ukazującej się zwykle na kilka godzin przed burzą. Wedle mniemania Eskimosów, było to zapowiedzią wielkich nieszczęść; złe bowiem duchy staczały zwyciężką walkę z dobrymi i tym sposobem stłumione zostało światło na korzyść ciemności, pokrywającej ziemię swemi cieniami. Zwykle zorza północna bywa zapowiedzią mrozu i pogody, tym jednak razem ta oznaka meteorologiczna nie sprawdziła się; stopniowo jasne pasy zwężały się, wibrujące na sklepieniu niebieskiem promienie, traciły coraz bardziej na swej sile; nareszcie czarna opona zawisła nad podróżnymi i niezadługo zaczął padać śnieg w wielkiej obfitości i z przerażającą szybkością.

Jednocześnie silny wicher przenosił tumany śniegu z jednego miejsca na drugie. Wkrótce powierzchowność okolicy przybrała odmienną zupełnie postać; powstały różnej wysokości góry, o których słabe wyobrażenie daje zima w północnej Europie.

Pod biegunem tak zwana zadymka, przybiera tak olbrzymie rozmiary, że częstokroć znikają w niej wierzchołki niebotycznych skał i ginie wszelki kierunek drogi.

Podróżni znajdowali się może nie dalej jak o kilometr drogi od miejsca, gdzie złożoną była żywność, ale utracili wszelką nadzieję odszukania takowej, z powodu zaszłych zmian w powierzchni i wytworzonych gór śniegowych. Skały po większej części zakryły biały pokrowiec, równający ich szczyty z najbardziej wklęsłemi dolinami. Mimo też najstaranniejszych poszukiwań, nie mogli nigdzie dopatrzéć olbrzymiej skały w kształcie zakrzywionego sierpa.

Nadto nagle prąd południowo zachodniego wiatru zwrócił się ku Północy, wywołując przeraźliwe zimno. Termometr opadł na trzydzieści kilka stopni poniżej zera, tak nagła zmiana temperatury jest nader niebezpieczna dla doświadczających jej; Lockwood i Fryderyk oparli się jej zwycięzko, ale nieszczęśliwy Rice rażony był jak piorunem, śmiertelnym ciosem. Ellison miał tylko sparaliżowane nogi, Rice utracał stopniowo władzę w całym sobie.

Po razy dwa usiłował się podnieść i po dwa razy upadł na ziemię; zupełna niemoc ogarniała z kolei wszystkie członki, aż nareszcie padł bezwładnie bez żadnego poruszenia. Lockwood i Fryderyk podbiegli ku niemu, aby go podnieść, ale rzekł do nich głosem pełnym rozpaczy, choć cichym i przerywanym:

— Wszelki ratunek będzie dla mnie daremny. Myślcie o sobie; obyście tylko mogli odszukać żywność. Umrę niedługo, bez nadziei zobaczenia żony i córki. Może wy będziecie szczęśliwsi, może wrócicie do rodzinnego kraju. Jeżeli spotkacie mą rodzinę, pozdrówcie ją serdecznie ode mnie. Powiedźcie, że w chwili zgonu myślałem o najdroższych sercu memu istotach.

Zatrzymał się na chwilę jakby dla nabrania oddechu, ale głos jego gasł widocznie i dodał ledwo już dosłyszanym szeptem:

— Pochowajcie mnie tutaj, błagam was na wszystko, nie zanoście ciała mego do obozu. John, John jest straszliwym widmem mojem w chwili śmierci. Chrońcie mnie od niego, nie chcę aby wiedział gdzie moje ciało się znajduje. On byłby gotów...

Rice zamilkł powtórnie... Lockwood zaczął zastanawiać się nad przyczyną dla której umierający lękał się przeniesienia do obozu, kiedy właśnie w pobliżu takowego pochowany został jeden z uczestników naukowej kolonii, zmarły na szkorbut. Wkrótce jednak pod wpływem wracającej

maligny, Rice dokładnie określił znaczenie dręczącej go obawy; widział on w gorączkowych marzeniach Johna, słynnego ułana z pod Paryża, rzucającego się na jego ciało, odrywającego różne jego części, łamiącego na kawałki ręce i nogi. Wkrótce dźwięk głosu Rica stał się jeszcze przeraźliwszym.

— Ah! niegodziwiec — krzyczał zapamiętale — rozbija mi golenie, aby dostać się do szpiku moich kości, wkrótce rozbije czaszkę, pokosztuje mózgu.

Szczególny zaiste był to objaw, dający się jedynie wytłomaczyć wpływem podbiegunowego zimna. Rice nie lękał się śmierci, przyjmował takową z zupełną rezygnacyą, ale myślał jedynie o pośmiertnym losie swego ciała. Chciał aby takowe spoczywało w całości i było uchronione od ostrych zębów zgłodniałego Niemca.

Lockwood zrozumiawszy o co chodziło, umierającemu rzekł uroczyście.

— Stanie się zadosyć twej woli, pochowanym będziesz nie gdzieindziej tylko tu, gdzie obecnie się znajdujemy. Zęby ludzkie nie znieważą twego ciała: przyrzekam ci to pod świętem wspomnieniem matki mojej.

Rice widocznie zrozumiał mowę swego dowódzcy, bo twarz jego zajaśniała jakby blaskiem dawno niedostrzeżonego zadowolenia. Zebrawszy wszystkie siły rzekł jeszcze do Lockwooda:

— Dzięki... dzięki... zabierz, poruczniku, pisany przezemnie dziennik... oddaj go mej rodzinie... niech się dowie jak ją kochałem... do ostatniej chwili... mego życia.

Wraz z ostatnim wyrazem nitka żywota biedaka przerwaną została. Skoro tylko Lockwood nabrał zupełnego przekonania o zgonie nieszczęśliwego sierżanta, natychmiast wyjął z bocznej kieszeni jego surduta wzmiankowany pamiętnik, który postanowił przechować jak relikwie, należące do całego narodu. Następnie rozebrawszy zmarłego zrobili z jego bielizny worek, w którym skryli ciało nieboszczyka w całości, a owiązawszy takowe starannie powrozem udali się na brzeg przepaści gdzie na spodzie słychać było szum bałwanów i trzask łamanych lodów.

Wśród uroczystego milczenia zsunęli zwolna po lodzie niesiony ciężar, który spadając na dół przyspieszonym biegiem, znikł nareszcie wśród niespokojnych fal oceanu.

— Sierżant Rice pochowany został jak prawdziwy marynarz — wyrzekł Lockwood z westchnieniem — i nas zapewne oczekuje los taki — dodał jakby wiedziony przeczuciem, po krótkiej chwili milczenia.

Został czas jakiś jeszcze pogrążony w głębokich myślach, a następnie pod wpływem niezależnego od jego woli wzniesienia ducha, ukląkł na lodzie, odmówił zaimprowizowaną przez siebie modlitwę:

— Boże wielki! który otaczałeś widoczną opieką Amerykę, dozwalając jej mieszkańcom używać nieograniczonej wolności, uratuj od zguby naszą wyprawę naukową i dozwól nam wrócić do ojczyzny, gdzie staniemy się żywym przykładem Twej potęgi i wielkości, jako wyprowadzeni cudownie z krainy śmierci.

Anglicy i Amerykanie używają większej od Francuzów wolności, a mimo to są bardzo religijnymi. Lockwood wstał z ziemi z pewną otuchą w sercu, mówiąc z zupełnem przekonaniem:

— Duch nieszczęsnego Rica poniesie mą modlitwę do stóp przedwiecznego.

Następnie wraz z jedynym swym towarzyszem Fryderykiem, zaczął iść w kierunku obozu, ale postępowali bez pośpiechu, jakby z pewną odrazą przewidując łatwo czekające ich przyjęcie. Utraconą była wszelka nadzieja odszukania składu żywności; złowróżbna przepowiednia Johna okazała się zupełnie usprawiedliwioną. Wprawdzie położone zasługi, przez porucznika powinny go były bronić od wszelkiego rodzaju zarzutów, ale trudno wymagać sprawiedliwych sądów, wyglądali jak szkielety i jedni drugich przerażali swym widokiem. Pod wpływem doznawanych cierpień przypisywali oni niepowodzenie dokonanej wycieczki, nie tyle zbiegowi nieszczęsnych wypadków, ile lekkomyślności lub nawet złej wierze wysłanych ludzi. Wpływ Johna, jako zwiastującego wcześnie niepowodzenie, wzrósł znacznie, stanął na czele pewnego rodzaju stronnictwa, chociaż nie posiadał żadnego stopnia, a nawet nie należał do korpusu sygnałów wojskowych.

Nabrawszy niespodzianie wielkiego znaczenia, zanadto był przebiegłym, aby wystąpić jawnie przeciwko Lockwoodowi.

Nie mogąc więc działać otwarcie, obrał uboczną drogę i skierował oskarżenie przeciwko Fryderykowi, nie szczędząc obelg i odgróżek.

— Dlaczego ten nędzny Eskimos — mówił z uniesieniem — nie przyniósł do obozu ciała nieszczęsnego Rica? Mielibyśmy sposobność sprawdzenia, o ile spotykająca go śmierć była naturalną. Kto wie czybyśmy nie dostrzegli jawnych dowodów popełnionego na nim gwałtu. Przeczucie nigdy mnie nie zawodzi, jestem pewny tego co mówię, domysły moje na nieszczęście sprawdziły się ze zbytnią nawet ścisłością. Prawdopodobnie był niedogodnym świadkiem tego co zaszło, może z obawy, aby nie wypowiedział prawdy pozbawiono go życia.

Fryderykowi nadał miano złodzieja ciał umarłych i groził pięścią, a przy sposobności nie szczędził kułaków, rzucając złowróżbne spojrzenia. Biedny Eskimos znosił wszystko cierpliwie, lękając się jak ognia swego przeciwnika. Nie wątpił ani na chwilę o jego zamiarze odebrania mu życia, przy pierwszej nastręczonej sposobności, niebezpieczeństwo było tem groźniejsze, że John umiał zyskiwać zwolenników, korzystając zręcznie z ogólnego niezadowolenia z doznanych zawodów i nieuniknionego w każdem towarzystwie ludzkiem współzawodnictwa. Na nieszczęście, w nędzy słabnie pojęcie a jeszcze więcej siła woli, dozwalając namiętnościom zawładnąć całą naszą istotą. Wprawdzie wystąpienie śmiałe i otwarte Lockwooda wsparte powagą majora, uśmierzyło trochę szemranie, ale tylko pozornie. Żarzewie niezgody trwało ciągle i z każdą chwilą przybierało większe rozmiary.

W obozie Lockwood miał wyznaczone miejsce tuż obok doktora; z czego korzystając opowiedział mu wszystkie szczegóły śmierci sierżanta Rica, również jak dręczące go obawy w ostatniej chwili.

— Miał zupełną słuszność nieboszczyk — odpowiedział Pawy. — Między członkami naukowej kolonii można napotkać ludożerców, a przykład do tego dał niegodziwy John; on to ośmielił i zachęcił innych danym przez siebie przykładem. Wypowiedziane zdanie opieram na faktach niewątpliwych, gdyż nie zwracając niby uwagi, wiedziałem bardzo dobrze co się dzieje w obozie. Wiesz poruczniku o śmierci jednego z naszych towarzyszów, który pachowany był uroczyście wśród powszechnego żalu. Jeden tylko John stratą tą zmartwiony był pozornie tylko, a rzeczywiście cieszył się, mając zapewniony do jakiegoś czasu dodatkowy posiłek, do odbieranej zwykle racyi żywności.

Nie mogąc działać sam, poszukał wspólników; jeżeli zatem nie znajdziemy w prędkim czasie środków utrzymania żywota naszego, pierwsza naukowa kolonia shańbioną sostanie zarzutem ludożerstwa.

— Teraz rozumiem — zawołał Lockwood — dlaczego ten niegodziwy John z takiem upragnieniem chciał widzieć ciało nieszczęsnego Rica, dlaczego tak oburzony był za rzucenie go w przepaść Oceanu.

— Zwróć teraz uwagę, poruczniku — mówił dalej doktor — na jego spojrzenia, które tak są jakoś niemiłe i wstrętne, że zawsze zdaje mi się, iż spogląda na nas okiem znawcy, jak na pieczeń smakowicie przygotowaną.

Tak więc w obozie utworzyły się dwa stronnictwa, z których jedno chciało szukać ocalenia w ludożerstwie, drugie odrzucało je ze zgrozą. Z natury rzeczy pierwsze kołozyskiwać mogło coraz większą przewagę, gdyż dokuczający bez wytchnienia głód oddziaływał szkodliwie i na moralne usposobienie rozbitków.

Łatwo przeto zrozumiéć niepokój Lockwooda i doktora Pawy; nie ulegali oni żadnym złudzeniom, zdawali sobie jasno sprawę z położenia, drżeli więc o dalszy los naukowej osady, pod wpływem obawy, aby ta skutkiem nędzy nie stała się zbiorem ludożerców.

Nietylko jednak dręczyła ich obawa o swoje osoby, ale lękali się również o los zrobionych odkryć. Jeżeli wyginą co do jednego, w takim razie naukowe zdobycze będą stracone dla ucywilizowanego świata, poświęcenie ich a nawet śmierć sama staną się zupełnie bezowocne. Doktor Pawy po długiej rozwadze wzbudził otuchę w sercu porucznika mówiąc:

— Zrobione przez nas odkrycia nie będą stracone dla ludzkości, jeżeli my nie powieziemy takowych do Ameryki, to Ameryka prędzej czy później poweźmie o nich wiadomość, przybywając do tej okolicy, wedle wskazówek złożonych przez nas w takich miejscowościach, których nie pomija żaden okręt przepływający. Przestrzeń ziemi znajdująca się pod północnym biegunem, przechowuje wiernie i bez uszkodzenia złożone w nich przedmioty. Przypomnij sobie, poruczniku, wyprawę Barentza, którego szczątki wraz z archiwum i ciałami jego towarzyszów, znaleziono w dwieście lat potem w Nowej Ziemi.

Miejmy więc nadzieję, że jeżeli nie my, to przynajmniej ciała nasze przewiezione będą do rodzinnej ziemi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NIEZAPOMINAJKI.

BAJKA.

— Żegnam was, śpiewne moje ptaszęta, wonne kwiatki i wysmukłe drzewa! Idę spocząć po trudach i znojach dzisiejszego dnia, w ciągu którego napatrzyłem się dowoli na ludzkie cierpienia, osuszając łzy płynące po bladych twarzach, kojąc bóle i tęsknoty, wlewając pociechę do serc uciśnionych. Czas mi odpocząć po ciężkiej pracy, to też życzę wam dobrej nocy: drzewa, kwiatki i ptaszęta miłe!

Tak szeptało złote słońce wieczorne, obejmując pieszczotliwie gasnącym promieniem okolicę, a pochylając się zwolna nad spokojnie ukołysanem morzem, przeglądało się w zwierciadlanych jego falach, słuchając z upodobaniem dziękczynnego hymnu, który mu śpiewała cała natura.

Noc zapadała zwolna. Wesołe ptaki milkły, chroniąc się do ciepłych gniazdek, wysmukłe drzewa pochylały wyniosłe czoła w sennej zadumie, kwiatki drzemały na miękkiem zielonem posłaniu, a wspaniałe morze zdawało się pogrążonem w śnie głębokim, w którym musiało mieć jakieś cudne widzenia, gdyż powierzchnia jego srebrzyła się i świeciła, zmieniając barwę co chwila.

Nagle uroczystą ciszę pogodnej, letniej nocy, przerywa szept nieśmiały. Zkąd on może pochodzić? Przyłóżmy ucho do ziemi i posłuchajmy.

A, to niezapominajki nie śpią jeszcze i gwarzą ścicha.

Drobny niebieski kwiatek rosnący na brzegu strumyka w pobliżu morza, podnosi ostrożnie wdzięczną główkę, strojną w brylanty rosy wieczornej i zwracając się do starszych sióstr mówi nieśmiało:

— Siostrzyczki drogie! nie mogę dzisiaj zasnąć spokojnie: cisną mi się do głowy pytania, które nie odstępowały mnie w ciągu dnia całego. Wytłomaczcie mi, proszę, poco my, niezapominajki, żyjemy na świecie i kto nas tak nazwał?

Starsze siostry zbyły ją milczeniem, nie chcąc się przyznać, że nie umieją rozwiązać pytań, które im samym nieraz na myśl się nasuwały.

Lecz młodziutka niezapominajka, która niezmiernie pragnęła dowiedzieć się zkąd ma taką śliczną niebieską sukienkę i złociste serduszko, nie dała tak łatwo za wygranę.

— Siostrzyczki miłe — prosiła pokornie — wyście starsze i mądrzejsze, powiedźcież mi jaki jest cel naszego istnienia i kto nam dał takie dziwne imię?

Spojrzały po sobie z zakłopotaniem niezapominajki, odpowiadając wymijająco:

— Czemuś nie zapytała o to słońca, które chodząc po świecie wszystkiemu się przygląda, wszystko wie i rozumie?

— Bałam się utrudzać jasne słoneczko natrętnemi pytaniami; z wami, siostrzyczki miłe, śmielszą jestem, gdyż razem wzrastałyśmy, dzieląc wspólnie wszystkie radości i troski krótkiego naszego życia.

Starsze niezapominajki pochyliły przy tych słowach główki w głębokiej zadumie, lecz napróżno szukały w nich odpowiedzi: żadna jej nie znalazła, a najodważniejsza zawołała głośno:

— Spytajmy morza, starego morza! Słyszałam wczoraj jak szybko-skrzydła czajka opowiadała falom strumyka, że natura nie ma żadnych tajemnic dla morza, w którego głębiach spoczywa tyle pereł i korali czerwonych, że owszem wszystko mu jest dostępnem, wszystko zrozumiałem.

— Ciszej, siostrzyczko! – przerwała jej inna. — Morze już śpi oddawna, a któżby się poważył je budzić? Czyś już zapomniała jak okrutnie jęczało i piętrzyło się onegdaj, grożąc nam wszystkim zalaniem, gdy przelatujący tędy wiatr potrącił je nieostrożnie skrzydłami.

Młodziutka nasza niezapominajka przysłuchiwała się w milczeniu rozmowie starszych sióstr. W małem jej serduszku zrodziło się silne postanowienie pójścia do morza, rozbudzenia go i poproszenia o rozwiązanie pytań dręczących ją od rana i niepozwalających usnąć spokojnie. Nie spotykała się nigdy jeszcze oko w oko z żadnem niebezpieczeństwem, to też nie miała o niem jasnego pojęcia, pomimo to jednak serduszko biło jej głośno na samą myśl rozmowy ze starym olbrzymem, który bądź przerażał groźnym rykiem nietylko wątłe roślinki, lecz i potężne drzewa, bądź harmonijną pieśnią szemrzących fal kołysał je do słodkich marzeń.

To też głosem bardzo niepewnym, drżącym i urywanym zwróciła się doń z cichą prośbą:

— Przebacz mi, starcze, śmiałość z jaką przerywam twój spoczynek. Słyszałam, że nie ma dla ciebie tajemnic, że wszystko wiesz i potrafisz wytłomaczyć, przyszłam więc cię spytać poco my, niezapominajki, żyjemy na świecie białym i dlaczego nas tak nazwano?

Drzemiące morze wnet się obudziło na dźwięk pierwszych słów drobnego kwiatka, a cofając wstecz faliste kędziory i uśmiechając się uprzejmie niebieskim uśmiechem, odrzekło łagodnie:

— Chodź-no bliżej do mnie, śliczny kwiatku, a postaram się odpowiedzieć na twe zapytanie.

Uszczęśliwiona niezapominajka przysunęła się jak mogła najbliżej, morze otuliło ją srebrzystym płaszczem i głosem miarowym i spokojnym, jakim starzy zwykli gwarzyć z wnukami o minionej przeszłości, rozpoczęło w te słowa:

— Wiele jest bezwątpienia szczęścia na szerokim świecie, ale jeszcze więcej cierpień i bólów rozmaitego rodzaju, i życie ludzkie stałoby się bardzo ciężkiem i okrutnie nieznośnem, gdyby dobre wieszczki nie starały się go uprzyjemnić i osłodzić. Najpiękniejsza z nich, najlepsza i najbardziej kochająca ludzi, nazywa się: Niezapomnij-mnie. Łagodny jej uśmiech rozwesela i pociesza smutnych i strapionych, słodkie spojrzenie pięknych, niebieskich oczu ozłaca i rozjaśnia szare ich życie, a melodyjny głos wlewa siłę i energią w zmęczone serca cichemi słowy: Nie zapominajcie żeście bracia i dzieci jednego Ojca! Żyjcie jedni dla drugich, kochając się i wspierając wzajemnie, a najwyższe i najdoskonalsze szczęście stanie się waszym udziałem. Jak promień słońca zmienia kroplę rosy w świecący brylant, tak miłość opromienia i oświeca najsmutniejsze nawet życie. Pracujcie więc w imię bratniej miłości dla bliźnich, pracujcie ciągle i bez wytchnienia, nigdy nie poprzestając na zdobytej już wiedzy, lecz dążąc odważnie coraz to wyżej. Torujcie nowe drogi dla światła i nauki i nie zapominajcie, że w przyszłości czeka was szczęście i spokój! Nie zapominajcie!

Urocza wieszczka nie łudzi tych, co postępują wedle jej rady, obietnicą sławy, potęgi lub bogactwa, owszem powiada im otwarcie: „Droga, którą pójdziecie ciernistą jest i nużącą, lecz nie zapominajcie, że ten tylko ma prawo nazywać się człowiekiem w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu, kto pragnąc szczęścia swych bliźnich stara się podnieść ich poziom moralny i umysłowy. Nie zapominajcie, nie zapominajcie!"

Słodki głos dobrej wieszczki wywiera czarodziejski wpływ na ludzi, budząc w ich sercach najlepsze i najszlachetniejsze uczucia, oraz zachęcając ich do pracy dla dobra przyszłych pokoleń. To też dzięki temu, zakres wiedzy ludzkiej z każdym się niemal dniem rozszerza, życie ludzkie staje się czystszem, lepszem i uczciwszem, a zastęp wiernych sług ślicznej wieszczki ciągle się pomnaża. Wielu z nich ustaje, co prawda, w połowie drogi i umiera nie osiągnąwszy celu, inni atoli nie tracą ducha i energii, gdyż mądra wieszczka przysłała was, piękne kwiatki na ziemię i nazwała niezapominajkami, byście przypominali im wielkie i prawdziwe jej słowa.

Dla wielu osób ani nazwa wasza, ani skromny wasz wdzięk nie mają żadnego znaczenia, mijają was obojętnie dla żywszego uczucia lub poważniejszej myśli. Miejcie litość nad tymi nieszczęśliwymi, których serce nie boleje nad ciemnemi stronami życia, nie pragnie pomyślności, szczęścia i cnoty bliźnich!

— Wiesz już teraz, kwiatku śliczny, dlaczego żyjesz na świecie, wracaj więc do twych braci i śpij spokojnie do jutra!

I ponury starzec, wobec którego drżały stuletnie dęby, otulił pieszczotliwie wątłą roślinkę srebrzystemi zwojami wilgotnego płaszcza i wyniósł ją na miękką murawę.

Niezapominajka nasza choć bardzo pragnęła podzielić się co najrychlej z siostrami tem, co usłyszała od starego morza, nie odważyła się atoli przerywać im słodkiego spoczynku i próbowała pójść za ich przykładem; lecz myśli o dalekiej przyszłości, która miała zapewnić szczęście i pomyślność wszystkim ludziom na ziemi, snuły się jej po główce, odpędzając sen z powiek i przyspieszając rodosne bicie małego serduszka!

Przełożyła *M. W.*

Z pod naszej strzechy.

Treść: Kiermasz. — Jego powodzenie. — Zasługi komitetu i amatorów. — Objaśnienie wyrazu Kiermasz. — Serce ludzkie i jego znaczenie. — Patti. — Znalezienie się Warszawy. — Ogólna w handlu stagnacya. — Rada Tygodnika Piotrkowskiego. — Odwołanie się do naszych pań. — Spodziewany przewrót w naszych zwyczajach i obyczajach.—Wiek obecny.— Zależność kobiet. — Ich ciągłe emancypowanie się.— Słów kilka z pożegnaniem i z życzeniami noworocznemi.

W chwili, gdy to czytać będziecie, *Kiermasz* urządzony przez Towarzystwo dobroczynności na powiększenie szczupłych swych dochodów, należéć już będzie do bezpowrotnej przeszłości. Witaliśmy go z wielką ciekawością, pożegnali z żalem, bo godnie spełniwszy przyjęte dobrowolnie obowiązki, zasłużył na to uznanie.

Warszawa przez krótki, dziewięciodniowy jego żywot, nim wyłącznie zajęta, o nim tylko prawie mówiąca i czytająca sążniste we wszystkich Kuryerach sprawozdania, tak licznemi tłumami napływała w jego podwoje, że musiano wstrzymywać sprzedaż biletów, aby przepełnienie jakiego nieszczęścia nie stało się powodem.

Pomysł wyborny i wybornie wykonany został, za co komitetowi należy się publiczna podzięka. Trud, kłopoty i troskliwe zebranie licznego grona amatorów. jakich udział był niezbędny w spełnianiu codziennie układanych programów, sowicie się opłacił. Warszawa zabawiła się, rzemieślnicy użyci do przeróbki cyrku zarobili, a ubodzy zyskali niemało grosza, o jaki coraz trudniej naszemu Towarzystwu dobroczynności.

Pismo humorystyczne Mucha, znaczenie wyrazu *Kiermasz* objaśnia składem jego z dwóch oddzielnych wyrazów, *Kier* i *masz*, czyli, że kto ma serce, to idzie na Kiermasz. Piękny to wywód, a i serce posiadać rzecz piękna chociaż... nieprocentowa,

według najmodniejszego stylu etyki pozytywnej. Świat, ludzi serca zwykle wieńczy cierniową koroną: los ich smutny, bardzo smutny... mimo tego nie gardźmy sercem, bo tylko serce świat odrodzi i dźwignie z upadku, w jakim szamocząc się, szuka ratunku napróżno. Ludzki rozum godny podziwu, ale i śmieszny zarazem, gdy puszy się wielkością.

Miejmy rozum ale i serce ceńmy jak zasługuje, są w niem prawdy rozumem nieodgadnięte.

Z wysokiego tego zakroju podniosłości ducha, schodząc na padoł naszej mizeryi ziemskiej, przedewszystkiem pospieszam z wiadomością, że zamierzony przyjazd p. Patti, nie przyjdzie do skutku. Zapisy doszły zaledwie do dwóch tysięcy rubli, gdy dwa zamierzone przez nią występy na dwadzieścia były obliczone.

Pani margrabina dowiedziawszy się o tak wielkiem naszem barbarzyństwie, raczyła rozgniewać się i donieść dyrekcyi, że ofiarowanej przez nią gościnności przyjąć nie może.

Dla nas strata żadna, żalu ani odrobinki, życzymy więc szczęśliwej podróży, nawet z powodzeniem, byle nie w starym naszym grodzie.

Warszawa mimo wielce charakteryzującej ją ciekawości, znalazła się i rozumnie i ekonomicznie; pod tym względem opinia tak była jednomyślną, że nadziwić się nie można, iż znalazła się garstka ludzi dobrowolnie nią pogardzająca.

Jak się tam uda pani margrabinie gdzieindziej, trudno powiedzieć, ale zdaje się, że za przykładem Brukselli i Warszawy, pójdą i inne większe miasta Europy i *diwa*, jak ją zowią, będzie musiała rada nie rada spuścić z tonu i ceny biletów zniżyć do połowy.

Dziś wszystko narzeka, ściska i biedzi się: stagnacya w interesach ogólna, ruchu handlowego nigdzie, sprzedaży zboża żadnej; jedna z cukrowni naszych z posiadanych zapasów znaczną partyą mączki cukrowej sprzedała do Anglii ze stratą czwartej części realnej wartości, byle dojść do jakiej takiej gotowizny; teatra wszędzie bankrutują, w Paryżu już trzy ich zamknięto; w takim więc stanie rzeczy ograniczenie wydatków konieczne, czyli zmniejszenie potrzeb uważanych dotąd za niezbędne. W tym celu Tydzień Piotrkowski radzi zakładanie kółek oszczędności, których staraniem być powinno, aby:

1) Na przyjęciach i zebraniach zwyczajnych, podawać jedynie herbatę i butersznity; na zebraniach liczniejszych, tanecznych, obfite półmiski jednego mięsa, kompot lub jaką niezbyt kosztowną leguminę. Na przyjęciach pierwszego rodzaju, dozwala się podanie piwa; na zebraniach tanecznych lekkie wino, w ilości wszakże o tyle umiarkowanej, by tańczących w nogi nie ścinało. Wina ciężkie, stare jak również w kilku podawane gatunkach, stanowczo winny być wykluczone, 2) Panie należące do kółka nie powinny kupować nowych jasnych, jedwabnych sukien, kosztownych koronek i biżuteryi. Wolno jest stare suknie, jakiekolwiekby one były, donosić. W ogóle, najpożądańsze byłyby wełny ciemne, jasne perkale i kretony; na zebrania taneczne dozwala się muślin lub w ostateczności tarlatan. Nadto niewolno zmieniać coraz to nowych tualet, lecz nosić te same, dopokąd się nie zniszczą. Stanowczo zabrania się kupowania aksamitnych okryć, jako rzeczy w wysokim stopniu niepraktycznych a kosztownych; kapelusze dwa na rok powinny stanowić maksymalną normę; więcej też nad dwie suknie rocznie kupować się nie powinno. Czarna jedwabna suknia, jako nader praktyczna i mogąca długo bardzo służyć, nie podlega karze. 3) Osoby należące do kółka zobowiązują się chodzić do teatru na miejsca najwyżej 5-ciozłotowe. Na przedstawienia amatorskie i koncerta, urządzane z celem filantropijnym, ofiarności niczyjej krępować niewolno. Ponieważ kółka za godło swe mieć powinny oszczędność i pracę, przeto należy pewną normę i dla tej ostatniej ustanowić. Mężatka, matka drobnych dzieci, ma obowiązki, które jej wszelkiej innej pracy podjąć się nie pozwalają. Panny jednak należące do kółka, jeżeli zarobkowej pracy nie mają i takowej nie potrzebują, powinny się zobowiązać co najmniej jedno dziecko ubogich zupełnie rodziców uczyć, albo też szyć rzeczy dla ubogich przeznaczone. Matkom dorosłych dzieci i mężatkom bezdzietnym, od obowiązku takiego usuwać się niewolno. Co do kar na cel dobroczynny za przekroczenie powyższych przepisów, te projektuje *Tydzień* następujące: „Za gorące mięso na zwyczajnem przyjęciu płaci się 1 rubla, podanie wina 3 ruble, wina kosztowne i w kilku gatunkach, bakalie; cukry i t. d. 5 rubli. Za kupno jasnej, jedwabnej sukni 5 rubli, za każdą suknię rocznie po nad dwie 1 rubla, za kapelusz nadetatowy 50 kop., kupno okrycia aksamitnego 5 rub. Do miejsca w teatrze, droższego nad 75 kop. dopłaca się 25 kop. na raz pierwszy, na drugi 50 kop., za trzecim 75 kop. i tak stale. Każda panna, mężatka bezdzietna lub mająca dzieci dorosłe, za życie próżniacze płaci miesięcznie 1 rubla. Kontrola wzajemna należy do uczestniczek kółek, ściąganie kar i przelewanie ich do kasy Towarzystwa dobroczynności, do przewodniczącej w kółku".

Powyższe uwagi powtarzamy w nadziei, że panie nasze zechcą się zająć organizowaniem takich kółek, które wprowadzone w wykonanie, ileżby dobrego zdziałać mogły. Odrazu to nie da się zrobić ale pomału weszłoby wzwyczaj, byleby tylko panie chciały się tem szczerze zająć.

Władza ich, pomijając pochlebstwa i komplimenty, nad męzką połową jest wielka, bo jak powiedział poeta:

Pomimo płci naszej uznanej zalety,
My rządzim światem a nami kobiety...

I tak jest na prawdę, co nam zupełnie wstydu nie przynosi.

Gdy więc panie nasze zechcą, kółka doradzane przez Tydzień piotrkowski, tworzyć się będą i upowszechniać z wielkim pożytkiem ogółu. Radziłbym tylko jeszcze, wszelkie gry w karty zredukować do grosika za punkt, nie palić droższych cygar jak dziesięciogroszowych i nie obdarzać dzieci cackami droższemi nad parę złotych. W zeszłym tygodniu jeden z magazynów dostał obstalunek na wyprawę dla lalki za 120 rubli. Jakież to straszne marnotrawstwo!

Przyjęcie programu dla kółek przepisanych, wywoła w naszych zwyczajach i obyczajach przewrot zupełny, byłaby to niejako emancypacya z przepisów kodeksu towarzyskiego, zmuszającego nieraz dla wyrażenia: *tak wypada*, pchać się dobrowolnie w ruinę. Ale wiek obecny brzmienny jest wielką przyszłością, w której złość ludzka na proch startą zostanie.

Dziś trzyma go w porządku siła przed prawem, przyjdzie czas, że prawo sile przewodzić będzie. Gorsza tyrania utrzymuje jeszcze dotąd kobiety w zależności często bardzo niesprawiedliwej, a jednak coraz bardziej zwalczając krępujące je pęta, kobiety emancypują się i z wytrwałością godną uznania, do praw przynależnych im dochodzą.

Niedawno, bo w zeszłym jeszcze miesiącu, kwestya dopuszczania kobiet do zajęć w aptekach, przychylnie dla nich według pism rossyjskich rozstrzygniętą została. Dla przyjęcia do liczby uczenic aptekarskich, wymaganem będzie od kandydatek ukończenie kursu gimnazyum i poddanie się egzaminowi z języka łacińskiego w zakresie czterech klas. Po przebyciu trzech lat w aptece, uczennice będą mogły zdawać egzamina na pomocnice prowizorów, po upływie jeszcze lat dwóch na prowizorów.

Już mamy kobiety doktorami, w Anglii tylko czekać jak zasiadać będą w parlamencie; w Ameryce zostają prawnikami, a nawet kandydatkami na godność prezydenta; obecnie w Anglii krzątają się około założenia zakładu z wyłączną nauką medycyny dla kobiet, któreby zdecydowały się praktykować w Indyach. Medycyna bowiem w tej tak dalekiej a rozległej krainie, jest prawie zupełnie zaniedbana, gdyż choroby uważane są jako kary Boże, przeciw którym działać niegodzi się. Szczególniej pod tym względem kobiety są bardzo zaniedbane, zwyczajem narodowym nieprzypuszczane do towarzystwa męzkiego. Jedynym więc sposobem ulżenia chorym Indyankom, byłoby zaludnienie Indyi kobietami doktorami, które otrzymując subwencyą od rządu, mogłyby wielkie usługi oddać Indyankom.

Już kobiety odbywały pojedynki za granicą, u nas o jednym takim ułożono bajeczkę, przy pomocy ruchliwszych reporterów; obecnie znowu chodzi wieść o uczeniu się przez kilka młodych panien fechtunku u nauczyciela, wyłącznie tej umiejętności poświęconego. Jeżeli więc w tak różnorodnych zajęciach, kobiety obejmują odpowiednie stanowiska dla swego wyłącznego pożytku, czegóż nie mogłyby dokazać przy dobrej woli, rozwijając pod sztandarem oszczędności działalność dla pożytku całej społeczności.

Zamożniejsze powinny dać pierwszy przykład i nie szczędzić starań i zabiegów, aby doradzana reforma wszystkie przejmowała warstwy społeczne schodząc na sam dół aż do ludu, ulegającego często podmuchom pychy i chętce błyśnięcia posiadaną zamożnością.

Z niepłonną nadzieją, że myśl nasunięta przez Tydzień Piotrkowski nie zostanie bezwarunkowo odrzuconą, zamykam moją ostatnią w tym roku gawędę. Na powitanie noworoczne wypadałoby słów kilka jeszcze przemówić, z pociechą i pokrzepieniem w troskach, tak się nas trzymających uporczywie. Należałoby także ułożyć wiązankę życzeń, coby wam oblicza opromieniły radością i błogą do duszy wlały otuchę.

Nie stać mnie na tak wielkie zadanie, ale spojrzyjcie we własne serce, podsłuchajcie jakie dźwięczą w niem tony, a tym samym dźwiękiem odpowie i moje serce tak zgodne z wami we wszystkiem.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Komitet Towarzystwa Muzycznego** rozszerzył znacznie swą działalność i nie ustaje na tej drodze. Zorganizowawszy chór amatorski, przystępuje obecnie do urządzenia orkiestry i ensemblów wokalnych solowych.

Wytworzenie stałej orkiestry przy Towarzystwie jest rzeczą bardzo pożądaną, pod światłym kierun-

kiem Z. Noskowskiego byłaby to kiedyś orkiestra wyborna, prawdziwie artystyczna.

Przyjemności i korzyści wypływające ze wspólnej pracy, są chyba aż nadto widoczne, ansamble zaś wokalne wpływają również na umuzykalnienie solistów, kształcą i wyrabiają głos, przez wykonywanie tercetów, duetów, kwartetów i t. p.

Komitet jest przekonany, że dobre chęci Towarzystwa znajdą serdeczny oddźwięk w sferach artystycznych i amatorskich naszego miasta, które zechcą poprzéć jego usiłowania, zapisując się jak najliczniej do orkiestry i do ansamblów wokalnych.

Zapisani członkowie tak orkiestry jak i ansamblów wokalnych, otrzymają bezpłatne bilety wejścia na wszystkie większe wieczory muzyczne Towarzystwa.

Bliższych informacyi udzieli kancelarya T. w gmachu teatralnym, gdzie zapisywać się można codziennie, od godziny 11 do 1 i od 6 do 8.

Gdy już obydwa działy zostaną skompletowane, próby rozpoczną się natychmiast i odbywać się będą stale dla orkiestry po dwa razy na tydzień, dla śpiewu jeden raz tylko, w porze popołudniowej.

*** **Marnotrawstwo.** Taniość nafty niedługo do przeszłości należéć będzie, gdyż ogromne jej zapasy straszne się marnują.

Dnia 6 bieżącego miesiąca, na posiedzeniu Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, pan Ludwik Nobel krezus przemysłowców kaukazkich, przytoczył między innemi, że producenci nie mogąc zużytkować odpadków nafty, palą jednorazowo dziesiątki milionów pudów, ażeby zrobić miejsce dla nowej produkcyi.

Przy takiem gospodarstwie rabunkowem, nafta kaukazka mogąca wystarczyć bardzo długo, będzie musiała się wyczerpać. Słyszeliśmy także, że ma być obłożoną podatkiem, czego dotychczas nie było wcale.

Są to wszystko wcale nie pocieszające fakta, mieliśmy oświetlenie tanie choć fałszowane w znacznej części, że zaś z podniesieniem cen, handlujący fabrykować jej nie przestaną, lecz szerzej rozwijać będą swoją praktykę, to pewna.

*** **Dla chorych na oczy.** Na przedmieściu Wilna, zwanem Nowe Miasto, kosztem i staraniem hr. z Tyzenhauzów Przezdzieckiej, założonym został instytut oftalmiczny.

Trzypiętrowy ten pałac, oświetlony gazem, mieści się w parku i podzielony jest na trzy oddziały: dla kobiet, dla mężczyzn i dla operowanych na kataraktę, sztuczną źrenicę, choroby powiek i inne. Wzorowa biblioteka złożona z dawnych i najnowszych dzieł specyalnych oraz znakomity dobór instrumentów i machin ophtalmologicznych dopełniają całości.

Zakład obfituje w doskonałą wodę, sprowadzaną z okolic Wilna i w zdrowe powietrze. Góra dominująca nad parkiem i zakładem, pokryta jest ślicznym sosnowym lasem, który odświeża powietrze, nasycając takowe balsamem antimiazmatycznym, tak pożądanym w wielu cierpieniach.

Założycielce przytułku dla chorych na oczy, należy się szczere uznanie, gdyż widocznie nie szczędziła starań i kosztów. aby instytut uczynić wzorowym, w całem znaczeniu tego wyrazu.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Bez ceremonii.** Przepisami własności literackiej wcale się nie krępując, zagraniczni autorzy czerpią gdzie się da i jak można.

Niedawno mieliśmy przerobioną po francuzku *Posażną jedynaczkę*, teraz znowu obrabowano Fredrę (ojca).

Nowa komedya Mozera, ciesząca się w Berlinie i na kilku innych scenach niemieckich wyjątkowem powodzeniem, jest przeróbką z „Dożywocia".

Niektóre figury i sceny żywcem są wzięte.

Okazuje się, że tak zwana przez „najdroższych" polska gwara (Idiom) na coś przydać się może.

Tytuł owej przywłaszczonej komedyi: *Leibremte.*

*** **Także ambitny!** Niejaki Smith, bogacz z Londynu, zwrócił się do pani Tissaud z zapytaniem, jakiej zapłaty żąda za umieszczenie podobizny jego osoby, między znakomitościami utrzymywanego przez nią gabinetu figur woskowych.

Pani Tissaud odparła, że sprawa to bardzo trudna, gdyż zbiór jej zawiera tylko książąt, wielkich poetów, artystów, wreszcie zbrodniarzy; ponieważ zaś pan Smith do żadnej z tych kategoryi się nie zalicza, nie wiedziałaby nawet jak go przedstawiać publiczności.

Pan Smith od swego zamiaru nie odstąpił, namyślał się przez kilka miesięcy i w tych dniach przyszedł znowu i wręczając pani Tissaud czek na 5,000 f. szt., rzekł uroczyście:

— Teraz możesz, pani, postawić moją figurę, a gdy zwiedzający staną przedemną, powiesz: Oto jest kopia człowieka, który zapłacił majątek, aby zostać przyjętym do woskowego towarzystwa.

Pani Tissaud propozycyą przyjęła, a dziwny oryginał ujrzy niebawem swą kopię w towarzystwie woskowych lalek.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie wieczorowe. Spódnica koronkowa oszyta wązką wstążką vêtement z Faille ozdobione perełkowemi torsadami. Żabot koronkowy; gwiazda brylantowa we włosach.

Ubranie balowe. Spódnica à la paysanne z niebieskiego tiulu, u dołu bufiasto przymarszczona, podpinana kwiatami. Stanik bawełowy z materyi jedwabnej, z tiuliową bertą i rękawkami. Głowa ubrana kwiatami.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pa. Wilhelminie Mauer w Czahrowie w Galicyi. Redaktor serdecznie wdzięczny za pamięć, wzajemnie życzy wszystkiego dobrego. Prenumerata zaciągniętą została do kontroli.

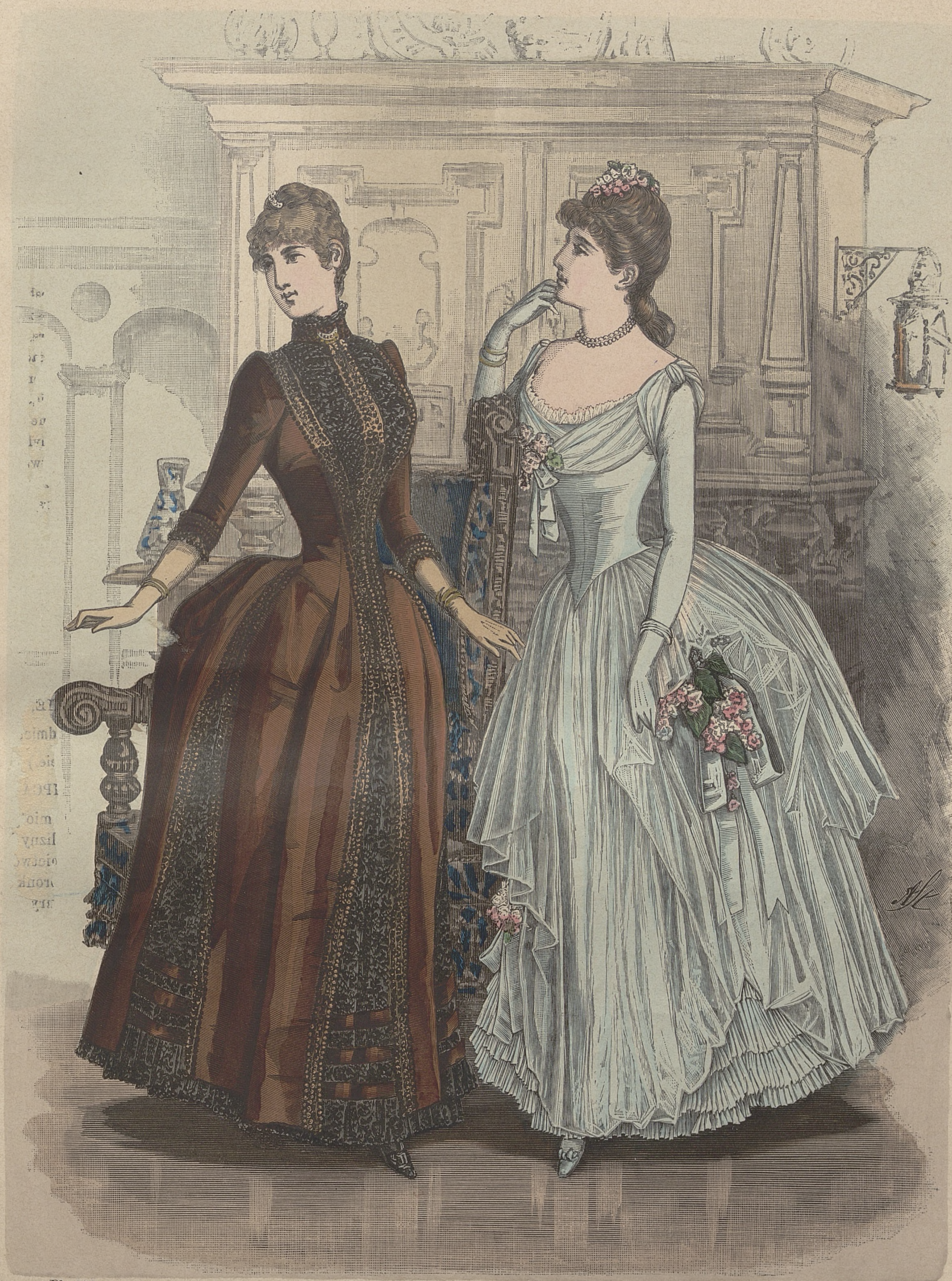
NOWE WYDAWNICTWA.

Ogród Zoologiczny, świat zwierzęcy w obrazkach, na 20 kolorowanych tablicach, wyszedł nakładem G. Centnerszwera i obejmuje: zwierzęta ssące, ptaki, gady, płazy, ryby, owady, pająki, raki, mięczaki i t. d. przedstawione w rycinach kolorowanych bez tekstu objaśniającego.

Mitologia Greków i Rzymian dla młodzieży, opowiedział D-r Fr. Albert Zippes, z dwudziestu tablicami. Lwów, nakładem księgarni I. Leona Pordesa.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Декабря 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).



Pl. 632.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.